

*Władysław Kubów  
Warszawa*

## **W 90. Rocznicę powstania “ROTY”**

*Nie rzucim ziemi skąd nasz ród,  
nie damy pogrześć mowy....*

Obchodzimy w tym roku 90. rocznicę powstania tej narodowej pieśni. Maria Konopnicka napisała ją w mrokach zaborów, kiedy Polski nie było na mapach Europy. Natychmiast rozpowszechniona została wśród ludności polskiej i wywarła ogromny wpływ na świadomość narodową Polaków we wszystkich trzech zaborach oraz wszędzie tam, gdzie biło polskie serce.

Tekst pieśni przyjęty został przez społeczeństwo gorąco, a gdy uskrzydliła go melodia Feliksa Nowowiejskiego, “Rota” urosła już w 1910 roku do rangi hymnu narodowego. (Obchodzono wówczas 500-lecie zwycięskiej bitwy pod Grunwaldem).

Patriotyczna pieśń szybko została przyjęta przez młodzież zorganizowaną w “Drużynach Strzeleckich”, “Drużynach Bartoszewych”, w “Sokole”, “Zarzewiu” i w oddziałach POW. W czasie I wojny światowej podtrzymywała na duchu Legiony Polskie i żołnierzy gen. Hallera.

W 1918 roku, w czasie odrodzenia państwa polskiego, “Rota” brzmiała jak sygnał bojowy wszędzie tam, gdzie trzeba było wydierać wrogom każdy skrawek ziemi. Z tą pieśnią na ustach stawali Polacy do plebiscytu na Warmii i Mazurach, ona była hymnem wszystkich trzech Powstań Śląskich. Z pieśnią tą walczyli Poznaniacy z Niemcami podczas Powstania Wielkopolskiego.

W okresie międzywojennym była “Rota” kandydatką do hymnu narodowego, ale krytycy zrobili zastrzeżenie do jej trzeciej zwrotki.

W czasie II wojny światowej - “Słowa Roty niczym magiczne zaklęcia porywały do walki z wrogiem, dawały polskim sercom siłę przetrwania” - pisał kronikarz. Śpiewali ją partyzanci wszelkich ugrupowań, oddziały Wojska Polskiego w Związku Radzieckim, na Bliskim Wschodzie, pod Tobrukiem, we Włoszech, Francji, Wielkiej Brytanii i Ameryce. Z tą pieśnią na ustach walczyli Polacy pod Lenino. Śpiewana była w wojsku rano i wieczorem po modlitwie. Śpiewał ją w tym czasie także piszący te słowa. Ona podtrzymywała na duchu polskich żołnierzy w czasie walk na całym szlaku bojowym - aż do

Berlina i Łaby. W pierwszych latach po wojnie rozbrzmiewała "Rota" także przy okazji różnych uroczystości. Dopiero później została zakazana i ... zapomniana. Oficjalnie powróciła do naszego życia w czasie przemian, jakie nastąpiły w Polsce po 1980 roku.

Od 1989 r. jest hymnem Polskiego Stronnictwa Ludowego, ruchowi ludowemu towarzyszyła bowiem od zarania.

Muzeum Historii Ruchu Ludowego - Narodowa Instytucja Kultury dwukrotnie już organizowała rocznicowe uroczystości. 21 sierpnia br. w ogrodach Muzeum przy ul. Wilanowskiej 204 w Warszawie uczczono 90-lecie powstania "Roty", połączone ze wspomnieniami o jej Autorce - Marii Konopnickiej. 30 września br. w gmachu PSL przy ul. Grzybowskiej 4 odbyło się drugie uroczyste spotkanie, połączone z promocją książki J. Gmitonka i J. Mazurka pt. "Rota" i wystawą ilustrującą znaczenie tej pieśni w naszej historii.

Jest okazja, by przypomnieć tu pokrótce biografię Autorki "Roty" oraz wielu innych znanych wierszy.

Urodziła się w Suwałkach, w rodzinie ziemiańskiej. Ojciec Józef Wasiłowski - adwokat, miał wiele zainteresowań; zajmował się także literaturą (tłumaczył na j. polski wiersze autorów francuskich i niemieckich).

Jeszcze w dzieciństwie zamieszkała Maria z rodziną w Kaliszu. Wykształcenie otrzymała w domu rodzinnym i tylko rok uczyła się w prywatnej szkole żeńskiej w Warszawie. W tym czasie poznała Elizę Pawłowską, późniejszą Orzeszkową.

W wieku 20 lat wyszła za mąż za ziemianina Jarosława Konopnickiego z Bronowa k/Łęczycy. Unikając aresztowania za pomoc powstańcom w 1863 roku, Konopniccy wyjechali do Niemiec, skąd wrócili po amnestii dwa lata później.

Maria nie czuła się związana ze środowiskiem ziemiańskim i oceniała je krytycznie. Po utracie Bronowa, a następnie kolejnej posiadłości, i po rozstaniu się z mężem, przeniósła się wraz z dziećmi do Warszawy, do domu Ojca. (Matka zmarła jeszcze w Kaliszu). Tu zetknęła się ze środowiskiem literackim.

W swojej twórczości krytycznie oceniała rzeczywistość i protestowała przeciw istniejącym warunkom społecznym, obyczajowym i politycznym. Pisała o istniejącej w mieście i na wsi nędzy, o konieczności poświęcenia się dla sprawy narodowej. Wierzyła gorąco w odzyskanie wolności i niepodległości Kraju.

Z powodów rodzinnych, zdrowotnych i nieprzychylności władz carskich Konopnicka wyjeżdżała za granicę w latach 80-tych XIX w. i odwiedziła wiele krajów Europy. Utrzymywała jednak łączność z oświatowymi i społecznymi zrzeszeniami w Polsce.

Przez dwa lata była redaktorką czasopisma kobiecego "Świt", na

łamach którego prowadziła ożywioną działalność publicystyczną. Walczyła o kulturę polską na Śląsku, Warmii i Mazurach, występowała przeciwko okrucieństwu Niemców w odpowiedzi na strajk dzieci polskich we Wrześni. W tych latach ukazały się drukiem kolejne tomy Jej "Poezji", "Wrażenia z podróży", zbiory opowiadań i nowel.

Działalność Konopnickiej, od dłuższego już czasu zwracająca uwagę władz carskich, zmusiła Ją w 1890 roku do przeniesienia się do Krakowa. Tu w 1902 r. obchodziła 25-lecie swojej twórczości pisarskiej. Jako dar jubileuszowy od narodu otrzymała niewielką posiadłość w Żarnowcu, gdzie osiadła na resztę życia. Powstały tam nowe utwory o patriotycznej wymowie, wśród których największą popularność zdobyła właśnie "Rota".

W 1909 roku wyjechała Konopnicka na leczenie do Włoch. Wróciła po roku, ponieważ stan zdrowia pogarszał się. Wyjechała następnie do słynnego zakładu leczniczo-sanatoryjnego we Lwowie "Pod Wysokim Zamkiem", gdzie zmarła 8 października 1910 roku.

Prof. S. Nicieja tak pisze w swojej książce "Cmentarz Łyczakowski we Lwowie": *Jedną z największych uroczystości żałobnych na Łyczakowie był pogrzeb Marii Konopnickiej w dniu 11. X. 1910 roku. Wzięło w nim udział ponad 50 tysięcy ludzi. (...) Przed wyniesieniem trumny z kościoła wiceprezydent miasta, Tadeusz Rutkowski powiedział: Zaniesiemy Ją do mogiły na Ziemi Lwowskiej, a powitają Ją tam bratnie duchy: Goszczyński, Grottger, Bartusówna i tylu innych (...) A pójdzie za Nią nie tylko nasz ból ale i żal bratniego narodu ruskiego, który również odczuł Jej stratę,*

Nad grobem Konopnickiej przemawiali: Jan Kasproicz - poeta, i posłowie: ludowiec - Jakub Bojko, socjalista - Józef Hudec oraz inni, głównie ze środowisk akademickich.

W 1922 roku stanął na cmentarzu Łyczakowskim pomnik Marii Konopnickiej dłuta Luni Drexlerówny. Jak pisze prof. S. Nicieja - *spośród rzeźb nekropolowych Drexlerówny (...) pierwsza stanęła na Cmentarzu Łyczakowskim na grobie Marii Konopnickiej, po przeniesieniu prochów Autorki "Roty" z grobowca Michalskich na nową kwaterę. (...) Było to brązowe popiersie Konopnickiej z twarzą młodzieńczą o subtelnym wdzięku, wydobytym dzięki mistrzowskiemu wykonaniu światłocieni. Niestety w latach II wojny światowej popiersie zostało rozbite albo skradzione.*

Dopiero w 1950 roku popiersie Marii Konopnickiej zostało - z inicjatywy władz - odtworzone. Dokonał tego (na podstawie fotografii) znany ukraiński rzeźbiarz - Wołodymyr Skołodra, twórca popiersi Bethowena, Mendelejewa, Szewczenki, Franki i in.

Na pomniku umieszczony został fragment wiersza Poetki:

*...Proście wy Boga o takie mogiły,  
które też nie chcą, ni skarg, ni żalości,  
lecz dają sercom moc czynu, zdroj siły,  
na dzień przyszłości...*

Jan Hrymniak  
Warszawa

## Niezapomniane strony rodzinne Ziemia Czortkowska Cz. III.

Teraz opowiem coś weselszego z życia wsi i jej społeczności. Biała słynęła z wielu ciekawostek, które można zaliczyć do dziedziny etnografii. Kobiety wiejskie, szczególnie Ukrainki, słynęły z umiejętności haftowania (a jak się u nas mówiło “wyszywania”). Ubiory, szczególnie kobiece, były pięknie ozdabiane kolorowymi wyszywankami i haftami. W lnianych koszulach wyszywane były (ścięciem krzyżkowym) stójki, rękawy i mankiety. Stójki kobiet i mężczyzn związane były kolorowymi tasiemkami (harasówka- mi<sup>1</sup>). Koszule męskie miały ponadto wyszywane “pazuchy” czyli przody (gorsy). Innego rodzaju haftem, o wzorze kwiatowym, ozdabiano staniki (gorsety), i spódnice, zwłaszcza te świąteczne z aksamitu. Ozdabiano haftem również zimowe kożuchy, długie, szyte z futra hodowanych w gospodarstwie baranów. Na nogach nosili ludzie długie buty z cholewami z czarnej skóry. W bardzo silne mrozy nakładano na nie ocieplacze, rodzaj kaloszy z plecionej słomy. Niezależnie od tego wkładano do butów słomiane wiechcie. Mrozy poniżej 30<sup>o</sup>C nie należały u nas do rzadkości.

Odzież i bielizna szyte były przez kobiety własnoręcznie, z płótna własnego wyrobu. Opiszę jego “produkcję”.

W zależności od potrzeb i wielkości rodziny siano na polu konopie. Gdy dojrzały, wrywano je z korzeniami i młócono, zbierając ziarno na olej. (O nim później). Z kolei wiązano konopie w snopki i moczono dłuższy czas w wodzie (najczęściej w Serecie lub pobliskim potoku), przykryte kamieniami, aby woda nie porwała ich ze swoim nurtem. Gdy tylko osłaniające łodygi zaczęły odstawać, konopie suszono (na słońcu), a potem międlono je w międlicy. Było to proste urządzenie, obecne w każdym gospodarstwie. Takie odłączanie paździerzy od włókien odbywało się w październiku, i stąd podobno wzięła się nazwa miesiąca. Uwolnione włókno konopne należało teraz wyczesać na tzw. szczotce. Był to po prostu kawałek deski gęsto nabitej gwoździami; wyglądała jak jeź. Wyczesane włókna nadawały się już do przędzenia. Konopną przędzę nawijano na kądziele i ręcznie snuto z nich z wielką wprawą

---

<sup>1</sup> Czerwona wstążka, lub wełniana wąska tasiemka. (Przyp. red. za: Z. Kurzowa Polszczyzna Lwowa i Kresów Południowo-wschodnich do 1939 r., Warszawa-Kraków 1985, str. 471).

nici, nawijane na wrzeciona. Grubsze nici przędzono na worki i powrozy, cieńsze na pościel, a bardzo cienkie na bieliznę osobistą. Przędzenie włókna było domeną kobiet. Odbywało się zazwyczaj w zimowe wieczory, łączone często z towarzyskim spotkaniem z sąsiadkami, któremu towarzyszyły rozmowy, opowiadania o różnych dziwach i wspólne śpiewanie. Takie gromadne przędzenie, a innym razem darcie pierza, odbywało się w coraz to innym domu ze względu na oszczędność nafty do lamp. Z tym liczone się wszędzie, ponieważ nafta była droga, a innego oświetlenia wieś nie miała.

Żeby płótno gotowe było do użytku, należało wykonać jeszcze kilka czynności. Uprzędzone nici zwijano w motki (takie, jak zwija się włóczkę) i oddawano do tkacza. We wsi było dwóch tkaczy, właścicieli krosien. Utkane płótno miało szary kolor i wymagało wybielenia. Można to było zrobić tylko latem, przy silnym słońcu. Najpierw jednak sporządzano ług, zalewając wodą popiół ze spalonej słomy. Po kilku dniach wodę zlewano i moczono w niej płótno przez kilka godzin, a następnie poddawano kilkakrotnemu oddziaływaniu czystej wody i słońca. Mokre płótno rozwijano na trawie, suszono i powtarzano tę czynność tak długo, dopóki nie uzyskało śnieżnej białości. Każdą dziewczynę uczono na wsi tych wszystkich prac oraz szycia odzieży i bielizny.

Co tydzień odbywało się w wiejskich domach pranie oraz pieczenie chleba. Zabrudzoną odzież lub bieliznę moczono przez kilka godzin w drewnianych baliach, a następnie prano w rzece na płaskim kamieniu, wybijając brud drewnianymi kijankami. W podobny sposób pranie płukano. Zamiast mydła, które trzeba było kupować, w większości domów używano do spierania brudu i wybielenia bielizny ługu.

Mógłbym na tym zakończyć opisywanie życia w mojej rodzinnej wiosce, nie mogę jednak nie wspomnieć o kilku ciekawych zwyczajach, jakich już nikt nigdy nie zobaczy, a szkoda by wnukowie nie dowiedzieli się o nich.

W święta Wielkanocne Ukraińcy mieli w zwyczaju święcenia wszystkiego, co przygotowali do spożycia. Więc wypieki - paski i korowaje<sup>2</sup> oraz inne smakołyki, różne mięsa i wyroby mięsne. Ci, którzy mieszkali w pobliżu cerkwi przychodzili całymi rodzinami, i przynosili wiktuały do święcenia w kilku koszykach. Mieszkający dalej, przywozili je do cerkwi wozem. Potem ustawiali się wszyscy na dziedzińcu wokół świątyni, a po rezurekcji odbywało się święcenie. W drugi dzień świąt wychodziła z cerkwi procesja na cmentarz, gdzie odprawiano przy grobach modły. Na każdym grobie, przy którym życzono sobie obecności "świaszczennyka", ustawiano poświęcone kołaczki, które zabierała potem służba cerkiewna (w domyśle dla kapłana). Nie obeszło

<sup>2</sup> Obrzędowe ciasto weselne lub świąteczne z pszennej mąki, z wierzchu zdobione. Dawniej pieczone z zachowaniem odpowiedniego rytuału. (Przyp. red.).

się w tej uroczystości bez różnych proszalnych dziadów i kalek, którzy zbogacali obrządek prośbą o wsparcie i zawodzeniem.

Na dziedzińcu cerkiewnym młode dziewczęta bawiły się połączone za ręce w długi łańcuch, i krążąc wokół świątyni śpiewały odpowiednie pieśni. Były to "haiwki". Żadnej z tych pieśni nie pamiętam<sup>3</sup>.

Natomiast na święta Bożego Narodzenia był stary, może jeszcze starosłowiański zwyczaj, że w kuchennej izbie (gdzie zazwyczaj spożywano wieczerzę wigilijną) rozścielano na polepie grubą warstwę słomy, zwaną "diduchem" (po polsku "dziaduchem"). W kącie izby za stołem, ustawiano na ławie snop pszenicy. Pierwszym daniem po przełamaniu się opłatkiem był barszcz z grzybami, a potem pierogi i inne potrawy, wszystkie postne. Wieczerzę kończyła "kutia", tj. przyprawione orzechami, rodzynkami, makiem i miodem ugotowane ziarno pszenicy. Pierwszą łyżkę kuti rzucał gospodarz o sufit, prosząc Boga o urodzaj na polach. W domach, w których były małe dzieci, gospodyni rzucała po wieczerzy w słomę jabłka i orzechy, a dzieci je sobie wyszukiwały, jak w miejskich domach na choince.

O północy wszyscy domownicy udawali się obowiązkowo na pasterkę.

Rozłożony na polepie "diduch" pozostawał w izbie aż do święta Trzech Króli. We wczesnych godzinach rannych, kiedy było jeszcze ciemno, gospodarz palił "diduch" przed bramą swego gospodarstwa, a z popiołu formował na ziemi znak krzyża. Zapytałem kiedyś dziadka po co to robi? Powiedział, że jest to symboliczne światło oświetlające drogę Najświętszej Rodzinie podczas ucieczki do Egiptu. Tak czynił jego ojciec, i ojciec ojca, tak więc czyni i on sam. Był to ładny zwyczaj, o którym nigdzie nie słyszałem.

W czasie świąt "polskich" i "ruskich" (jak się wówczas mówiło) chodzili po domach "kolędnicy". Nie tylko po to aby coś zarobić, ale ponieważ był taki zwyczaj. W święta "polskie" kolędnikami byli zarówno Polacy jak i Ukraińcy, i razem śpiewali kolędy polskie. W święta "ruskie" było podobnie, tyle, że kolędy śpiewali po ukraińsku. Kolędnicy odwiedzali domy wieczorem, a w dzień przychodzili "przebierańcy", przedstawiający jakby skrócone jasełka. Był tam Herod i śmierć z kosą, diabeł, Żyd i Cygan, niedźwiedź i żołnierz, i jeszcze kilka postaci.

Przed świętami Bożego Narodzenia i Wielkiej Nocy stosowany był powszechnie ścisły post. Nikt nie odważył się jeść tłuszczu zwierzęcego. Do wszystkich potraw, nawet do chleba, używano oleju, najczęściej z

<sup>3</sup> W sąsiednich Skorodyńcach śpiewano, powtarzaną wielokrotnie, piosenkę o dziewczynie i ogóreczkach. Oto słowa pierwszej zwrotki: *Pytała sia maty doczki czy sadyła ohyroczki? Oj, sadyła, pidływała bo sia hosti spodiwała. Naj sia wiut, naj sia wiut!* (Przyp. red.).

konopi (niekiedy ze słoneczników). Jak go produkowano? Najpierw nasienie konopi suszono, potem mielono w specjalnej maszynie na grube otręby. Te oddawano do "olejarni". W Białej znałem tylko jedną. Tam otręby suszono, potem podsmażano na dużej blaszanej płycie, pod którą bez przerwy palono słomą. Rozgrzane otręby zbierano w lniane płachty i formowano z nich "bochenki", które wkładano we wgłębienia prasy i uciskano tłokiem. Ściskane otręby zamieniały się w "makuchy", z których olej wyciekał do kubła specjalnym otworem. Makuchy zaś służyły jako bardzo pożywna karma, dla bydła i trzody chlewnej, natomiast aromatyczny i bardzo smaczny olej używany był przez ludzi. Szczególnie smakował ze śledziami lub kiszoną kapustą.

Wieś bawiła się najlepiej na weselach. W domach polskich wesela odbywały się w większości na sposób "nowoczesny", a panna młoda występowała w sukni i welonie<sup>4</sup>. Natomiast Ukrainki wkładały do ślubu ładny i bogaty strój ludowy. Panna młoda miała więc pięknie wyszywaną koszulę, spódnicę w kolorowe kwiaty, i wysokie sznurowane buciki na podwyższonym obcasie. Na głowie miała wianek z mirtu, ozdobiony złotymi płatkami specjalnie w tym celu przygotowanego złota. Z tyłu wianka uwiązane były szerokie na 10 cm wstążki w barwne kwiaty, które spływały na plecy. Pan młody nosił również wyszywaną koszulę, a na głowie obowiązkowo kapelusz lub czapkę z daszkiem (kaszkiet). Do ślubu szli zawsze pieszo przez całą wieś, poprzedzani głośno grającą kapelą. Po powrocie z cerkwi podawano gościom obiad, mocno "zakrapiany alkoholem", a później były tańce. Wieczorem przychodziła na nie młodzież z całej wsi, nie tylko zaproszona.

Wesele rozpoczynało się już poprzedniego dnia wieczorem, w domu panny młodej. Były to tzw. "wianki". Podczas tej uroczystości pleciono wianek dla panny młodej i przygotowywano jej ubiór weselny. O północny następowały oczepiny, podczas których zdejmowano oblubienicy wianek i zastępowano go zawiązaną na głowie chustką, jako symbol przejścia do grona mężatek. Przy oczepinach składano pannie młodej "podarunki", a kto chciał z nią zatańczyć, musiał się dodatkowo "opłacić". Następnie aż do rana trwała zabawa taneczna. Po krótkim odpoczynku następowały "poprawiny", więc znowu przyjęcie i tańce, ale tym razem w domu pana młodego. Wesele trwało więc dwa dni albo i trzy dni.

c. d. n.

---

<sup>4</sup> Nie bez znaczenia było bliskie sąsiedztwo powiatowego miasta z przewagą ludności polskiej, skąd pewnie wzory przenikały do polskiej części wsi. (Przyp. red.).

Jan Raniczkowski  
Wymiarki

## Urodziłem się w Kamieńcu Podolskim (Wspomnienia) Cz. II

Po jakimś czasie powiedziano nam - uchodźcom, że musimy znaleźć dla siebie mieszkanie w mieście (jako lokatorzy lub sublokatorzy), ponieważ zbliża się czas nauki i trzeba szkołę opróżnić. Zamieszkaliśmy w domu pani Guzikowej przy ul. Mandla 1.

Wkrótce dostałem od Mamusi mundurek i tornister, w którym hałasowały kasztany, oraz czarną tabliczkę i rysik do pisania. Potem Mamusia zaprowadziła mnie do szkoły powszechnej im. Stanisława Konarskiego, pod opiekę wychowawcy ks. Łukasza Szuby.

Uczniowie tej szkoły nosili granatowe mundurki, a na czapkach-rogatywkach orzełki z koroną. Czapka miała dwukolorowy aksamitny otok: szerszy niebieski, a nad nim węższy w kolorze białym. W takim właśnie mundurku wychowawca zawoził mnie w latach 1924-1928 na ferie zimowe do ochronki w Czortkowie, prowadzonej przez siostry zakonne.

Tu chciałbym opisać pewne wydarzenie, jakie miało miejsce kiedy mieszkaliśmy jeszcze w szkole im. Królowej Jadwigi. Zżyliśmy się tam z państwem Grejcami, którzy mieli syna Kostka i córkę Lalę. Pan Grejc - b. oficer białej armii - pracował w tarno-polskim starostwie w charakterze woźnego. Pewnego dnia skończył sprzątanie i zauważył, że urzędnik nie może sobie poradzić z pracą. Zwrócił się więc grzecznie do niego: *Przepaszam wielmożnego pana za śmiałość, chętnie pomogę panu.* - Oburzony urzędnik zerwał się z krzesła i wrzasnął: *Precz stąd żebraku!* - W tym momencie wszedł do pokoju starosta. Urzędnik skłonił się nisko i wyjaśnił: *Wyobraża sobie pan starosta? Ten dziad ośmielił się powiedzieć, że chce mi pomóc w pracy.* - Starosta grzecznie zwrócił się do pana Grejca: *Zrobi to pan?* - *Tak* - odpowiedział zapytany, chyląc głowę w ukłonie. - *Proszę zatem usiąść przy biurku i pracę wykonać* - powiedział starosta. Pan Grejc ukończył pracę i wstał od biurka. - *Zwalniam pana* - powiedział starosta do urzędnika - *a pan Grejc zostaje przyjęty do pracy.* I zwracając się do niego dodał: *Proszę pójść do domu, zmienić ubranie, włożyć krawat i narękawki.* Pan Grejc odpowiedział zdecydowanie: *Nie mogę przyjąć ofiarowanej pracy, ten pan ma rodzinę.* - Na co starosta do urzędnika: *Zgadza się pan zostać pomocnikiem pana Grejca?* - *Tak, proszę wielmożnego pana starosty.* - *Dobrze* - powiedział zwierzchnik -

*a pan, panie inspektorze Grejc, zamelduje się u mnie przed pracą.*

Panie i Mamusia szybko skompletowały panu Grejcowi odpowiednią garderobę i poszedł pan inspektor do pracy<sup>5</sup>. Szczęśliwa pani Grejcowa dziękowała paniom.

A tymczasem w Kamieńcu Podolskim czekiści zauważyli, że dzieci w domu nie ma. Wygnali babcię z mieszkania i zabronili jej nawet przychodzić na tę ulicę. Ciocię Karolę pozostawili w domu, ale zabronili go opuszczać. Ogłosili, że jeśli ktoś ją odwiedzi albo poda kawałek chleba - to stanie przed sądem.

W 1926 roku wujek Michał (przebywający we Francji), przysłał do Tarnopola kompletne dokumenty na wyjazd do niego, a jego córka Emilia list do Mamusi i swoją fotografię. (Mieszkaliśmy wtedy u p. Brygierki, wdowy z trzema córkami).

Matka moja wyszła w Tarnopolu za męża za Mikołaja Garba - tiuka ze wsi Łysogórka, także uchodząc z Zbrucza. Po nadejściu listu z Francji, ojczym nalegał na wujka Ludwika by wrócił do Kamieńca Podolskiego pożegnać się z matką i siostrą. I wujek go posłuchał. Nie wiedział, że czekiści wykopali wokół budynku rów z dobrze zamaskowanymi sygnałami. Gdy wujek zauważył czekistów, przeczołgał się do mieszkania, ale go tu pochwycili.

Bez brakującej jednej osoby nie pozwolono rodzinie wyjechać do Francji. Wujek Michał tak się z tego powodu na nas pogniewał, że do dziś nie możemy go odnaleźć.

Na wiosnę 1928 roku wyjechaliśmy z Tarnopola do wsi Anielówka, gdzie ojczym otrzymał pracę zarządcy w majątku pana Adama Glogiera. Z pobliskiej stacji kolejowej w Romanówce dojeżdżaliśmy z bratem do szkoły w Tarnopolu. Do Romanówki było od nas 3 km drogi, przebywaliśmy ją obaj pieszo. Najtrudniej było zimą, kiedy ścieżki i tory zasypane były śniegiem.

Po ukończeniu przeze mnie 7-klasowej szkoły powszechnej ojczym zdecydował, że na tym zakończę swoją edukację. On sam ma tylko cztery wiejskie klasy - mówił - a powodzi mu się dobrze. Lepiej będzie, jeśli odbędę praktykę rolniczą w majątku.

Właściciel Anielówki chętnie zgodził się na zatrudnienie praktykanta pod warunkiem, że będzie pracował przez 5 lat nieodpłatnie ("ponieważ jest to chlebobajny zawód").

Chrześcijańskie Związki Zawodowe i Policja w Tarnopolu zainteresowały się tą sprawą, i ich przedstawiciele przybyli do naszego domu. Zaproszono też pana Glogiera. Przywitali się z nim i oznajmili z czym przyszli. Uważali, że należałoby jednak płacić chłopcu

<sup>5</sup> Na kilka lat przed wojną w 1939 r. p. Grejc przeniesiony został do Buczacza, skąd po wojnie wysiedlony został z rodziną do Bystrzycy Kłodzkiej.

1 zł za dniówkę. Właściciel majątku upierał się przy swojej wersji, ale po dyskusji uległ i zgodził się płacić za dniówkę 60 gr, tyle ile płacono kobietom.

Podczas tego sporu wydawało mi się, że pan Glogier szykuje się już do wyjścia. Przyjęte było wówczas, że „dzieci i ryby głosu nie mają”. W obawie, że pan Glogier wyjdzie i nie dostanę nawet tych 60 gr, odezwałem się jednak: - *Niech już będzie 60 groszy za dniówkę*. Jakie to było niegrzeczne! Przeprosiłem obecnych podając powód takiego zachowania się. Mama również przeprosiła za mnie gości i podziękowała panu Glogierowi za przyjęcie mnie na praktykę. Pan Adam ukłonił się i wyszedł, a Mamusia zaprosiła przyjezdnych na obiad.

Zacząłem pracę w polu z 12 końmi zaprzęzonymi do bron. Było to bronowanie przed i po siewie. Prowadziłem pierwszego konia tak, aby zasiew nie był krzywy. Pozostałe konie uwiązane były o około 50 cm od półszorka niżej. Trzeba mieć dobrą praktykę, aby przy nawracaniu przy końcu pola w każdej bronie wychodził kął prosty, a zasiew prościutki. Zarządca z Hałuszczyniec i właściciel Romano- wego Siola (narodowości żydowskiej) zachwycali się głośno tym widokiem.

Podczas żniw norma dniówki dla kobiet wynosiła kopę, czyli 60 snopków, które trzeba było zżąć, związać i złożyć. W Anielówce było o tyle łatwiej, że tam nikt objętości snopków nie mierzył. Bo np. w Romanówce polowy miał miarę, i gdy stwierdził że snopek jest trochę za mały (zwłaszcza kiedy nadchodziła właścicielka pani Oleksińska), przecinał powrósła bez litości. Kobiety płakały, musiały bowiem robić nowe powrósła, dożyć zboża do miary i ponownie snopki związywać.

Pięć lat praktyki u pana Adama Glogiera, to długi okres czasu na naukę i obserwację. Podczas żniw żniwiarze zżynali łany pszenicy i żyta za dziesiąty snop, tzn. dziesięć snopów dla pana, jedenasty dla siebie. Owies, jęczmień, gryka i bób były koszone. Kosili przeważnie mężczyźni, kobiety wiązały snopki. Uprzednio musiały przygotować kilkanaście kóp powrósł ze słomy. Snopy dla pana wiązały lekko, dla siebie twardo, i jeszcze kolaniem dociskały. Układały je później w „piętnastki”. Te dla pana były luźno ułożone, swoje „piętnastki” układały ciasno, żeby nie przewyższały tamtych. Toteż „piętnastka” pana dawała tylko 50 kg zboża, żniwiarza - 150 kg.

Pan Glogier wiedział o tym. I miał przy tym jakąś wewnętrzną satysfakcję, iż żniwiarze sądzą, że niczego się nawet nie domyśla. Ta sama sytuacja powtarzała się przy wykopkach ziemniaków (także za dziesiąty worek). Były więc worki małe, i duże - dla siebie.

Ogromne było zadowolenie pana Glogiera gdy łany były zżęte, a między szeregami ustawionych snopków chodziły dwuskibowe pługi. Miło było patrzeć, jak kładą się na złote ściernisko czarne skiby,

połyskujące w słońcu tłustym czarnoziemem. Ogromne też było jego i zadowolenie przy zwózce snopków z pola, gdy rosły obok stodoły sterty układane jak piękne domki: 4 m szerokie, 4 wysokie a 25 m długie.

Pan Adam wiedział, że ta ciężka praca żniwiarza w upale, te zarobione kopy i - jak mawiano "wytyk" - (tj. zboże, słoma, ziemniaki, mak i bób) - to utrzymanie na cały rok dla ludzi i inwentarza. Tu nie mierzono snopków. Pan Glogier nie zabraniał także zabierania do domu buraczanki dla zwierząt. Krowy pasły się przy żniwiarzach, doili je na polu. Tak było tu aż do roku 1939.

Podczas tej rolniczej praktyki nie miałem czasu na czytanie czy pisanie. Pracowałem od 6-tej rano do zachodu słońca i były tylko dwie godziny przerwy na obiad i odpoczynek dla koni i ludzi.

c. d. n.

*Stanisław Jastrzębski*  
*Chorzów*  
*(Wybór i red. I. Kotowicz)*

## **Oko w oko z banderowcami** **(Wspomnienia małoletniego żołnierza AK)** **Cz. V**

Powracam do Bybła. Gdy już doszliśmy trochę do siebie, stryjenka poleciała mi ukryć się gdzieś na wszelki wypadek aż do wieczora, ponieważ nie można było wykluczyć powrotu bandytów. Takie mieli zwyczaje, chcąc jeszcze wyłapać tych Polaków, którzy wyszli z kryjówek. Pojawiali się w różnych miejscach, działali podstępnie i z ukrycia, czasem przebrani w mundury niemieckie, niekiedy w mundury polskie. Do późnego wieczora przebywałem więc tego dnia ukryty głęboko w stogu siana. Samotność przyg- niatała mnie i budziła lęk. Nie mogłem usnąć, a pod zamkniętymi powiekami pojawiały się ciągle obrazy zamordowanych. Kiedy się zdrzemnąłem, ujrzałem stojącego naprzeciw mnie banderowca. Po długiej chwili stwierdziłem z ulgą, że to był tylko straszny sen. Nie mogłem się jednak uspokoić. Wciąż dochodził do mnie przyciszony głos zamordowanych chłopców i serce tłukło się w piersi nieprzy- tomnie. Dopiero gdy ukazał się księżyc, zostałem wywołany przez stryjenkę aby pomóc przy zwożeniu i grzebaniu ofiar.

Kilka kobiet i podrostków przystąpiło do kopania grobów na polskim cmentarzu. Najpierw zbito kilkanaście dużych pak, najczęściej ze żłobów, i złożono w nich zwłoki. Następnie pojedynczo, pokryjому, wywożono je lub wynoszono na cmentarz. Urządzenie tradycyjnego pogrzebu równało się samobójstwu. Banderowcy za nic mieli majestat śmierci. Pochowaliśmy, a raczej zagrzebaliśmy w ziemi ciała pomordowanych, a potem - otaczając półkolem wykopane groby - staliśmy z pochylonymi głowami. Nikt nie był w stanie wymówić słowa. Były tylko łzy. Nie mieliśmy jednak czasu na rozpacz. Wśród przytłaczającej ciszy jedna z kobiet zaproponowała szeptem przez łzy: *Ukłękniemy i zmówmy za nich cicho "Wieczne odpoczywanie"...*

Znałem ich wszystkich, prawie wszystko o nich wiedziałem, przeżyliśmy wspólnie kilka najpiękniejszych lat w moim życiu, łączyło nas bliskie sąsiedztwo lub koleżeństwo. Było mi bardzo, bardzo ciężko. w każdej chwili należało się jednak liczyć z ponownym napadem banderowców. Ze wsi przyszedł ktoś, aby nas ostrzec. Rozeszliśmy się więc pojedynczo w pośpiechu.

Wracałem z cmentarza z opuszczoną głową, ledwie żywy ze zmęczenia, odprowadzany zapewne przez duchy niedawno pogrzebanych. Nadchodziła północ, księżyc począł chować się za chmury. Skierowałem się po raz ostatni - jak się później okazało - ku rodzinnemu domowi. Jeszcze wczoraj wieś była gwarna, a dziś zupełnie obca i groźna. Żadne światło nie wydostawało się z domów, na ulicach nie było żywej duszy, tylko domy i drzewa rzucały długie cienie. Wlokłem się do domu brudny, rozbity, przygnębiony, a tuż przy mnie kroczyła śmierć.

Dom nasz i ogród także pogrążone były w ciszy a brama wiodąca na podwórze szeroko otwarta. Im bliżej byłem domu, tym większy ogarniał mnie niepokój. Nieśmiało wszedłem do otwartych pomieszczeń, w których panowała martwota. Przystanąłem na chwilę w mrocznej sieni, oparłem się plecami o ścianę i rozejrzałem się niepewnie po wszystkich kątach. Potem wszedłem do mrocznego wnętrza. To był już tylko szkielet domu. Stał otworem i był zupełnie pusty. Tylko szkło z wybitych okien chrzęściło pod stopami. Z kieszonkową latarką elektryczną przechodziłem z izby do izby. Żadnych mebli, ani obrazów na ścianach, żadnych rzeczy osobistych, pościeli, żadnych śladów po tych, co tu mieszkali. Otwarta szafa była pusta, jeszcze nie zdążyli jej wynieść. Tylko kot leżał na swoim stałym miejscu i nie zmieniając pozycji, tyknął na mnie żółtym okiem. Cały dorobek rodziców został doszczętnie zrabowany lub zniszczony. Przepadło wszystko, co tak skrzętnie gromadzili przez poprzednie lata, i na co tak ciężko pracowali. Płakałem tak, jak płacze się po stracie najbliższej osoby. Tęskniłem do tych wszystkich, zwykłych przedmiotów.

Otępiały ze smutku i zmęczenia, wyszedłem z przejmującym bólem głowy z mieszkania i usiadłem na chwilę na progu domu. Patrzyłem w niebo zmierzchające nad tą biedną i upokorzoną wioską. Byłem jak ona - biedny i upokorzony... W pewnej chwili, zjawił się jak spod ziemi, nasz pies Kruczek. Był najwyraźniej szczęśliwy, że pojawił się nareszcie ktoś bliski. Złocistymi źrenicami patrzył mi w oczy. Brzuch miał rozdęty, sierść nastroszoną, bez połysku. Byłem wzruszony widząc jego radość. Poklepałem go po grzbiecie, a on natychmiast odplącił mi położeniem głowy na moich zabłoconych butach i zaczął boleśnie poszczekiwać. Może wyczuwał, że to jest nasze ostatnie spotkanie? Szorstkim nosem dotykał bez przerwy moich rąk, leżał obok mnie i lizał moje buty. Nigdy nie zapomnę tamtej nocy.

Rzuciłem ostatnie spojrzenie na dom, który wszyscy domownicy kochali. Zapewne z przyzwyczajenia, zamknąłem drzwi i cicho, bez hałasu wyszedłem. Gwiazdy stawały się coraz bledsze, niebo szarzało. Zastanawiałem się, co przyniesie jutro i jaki będzie mój los w Stanisławowie, do którego miałem wyjechać. Niektórzy mieszkańcy jeszcze tej nocy opuścili po kryjomu wioskę lub przygotowali się do jej opuszczenia.

Banderowcy palili gospodarstwa należące do polskich rodzin. W kilka miesięcy później spalili także nasz dom z całym gospodarstwem i zrównali wszystko z ziemią.

Było jeszcze we wsi kilku Polaków, którzy z maniakałnym uporem nie chcieli opuścić ojcowizny i - jak mówili - dorobku całego życia. Musieli żyć w ustawicznym strachu i niepewności. Do końca nie zrozumieli powagi sytuacji. Dopiero kolejny, i ostatni napad banderowców zmusił ich do ucieczki, ale już tylko z tym, co mieli na sobie, jeżeli udało im się ująć przed toporem. W tej ostatniej akcji reżunów stracili życie: Józef Jastrzębski (zwany kowalem) i jego brat Feliks, oraz kilku innych, których nazwisk nie udało mi się ustalić.

Pamięć o tym pogromie osadziła się w ludzkiej świadomości. Kto mógł przewidzieć, że rok 1944 będzie dla 41 polskich mieszkańców Bybłą ostatnim rokiem ich życia?

Część mieszkańców wsi została zamordowana, a reszta w latach 1945-1947 - w wyniku powszechnego przesiedlenia - rozproszyła się po kraju i świecie. Większość straciła ze sobą kontakt na resztę życia.

Ilekcóż nadchodzą dni marca, myśli moje biegną ku cieniom tych prostych, wiejskich ludzi i ku ich mogiłom....

Już od dwóch lat mieszkałem z rodzicami w Stanisławowie. Masowy napływ ludności do miasta spowodował trudności aprowizacyjne. Zaczynało brakować nawet chleba, a przydziały urzędowe były niewystarczające. W żywność zaopatrywała dom głównie Mama. Coraz

częściej wychodziła z domu wczesnym świątem, obładowana różnymi rzeczami. Wracała niekiedy po kilku dniach, przywożąc trochę żywności wymienionej za odzież. Musiałem włączyć się do akcji aprowizacyjnej.

Któregoś dnia - przed opisanymi wcześniej morderstwami w Byble - wybraliśmy się tam z Matką po żywność. Ojciec był zdecydowanie przeciwny tej podróży, ale Mama była uparta, a ja także miałem ochotę na ten wyjazd. Omal nie przypłaciłem go życiem.

Pojechaliśmy pociągiem do Podszumlaniec, a dalej trzeba było iść pieszo. Wydawało się, że jest zupełnie bezpiecznie, co wkrótce okazało się pomyłką. Na wysokości wsi Krasne spotkaliśmy w szczerym polu ukraińskiego policjanta w niemieckim mundurze, z którego wystawała chuda szyja, a nad nią blada twarz z parą ciemnych oczu i wystającymi kośćmi policzkowymi. Na głowie miał czapkę z tryzubem. Konwojował młodego człowieka. Policjant zatrzymał nas, a po wylegitymowaniu i krótkiej wymianie zdań oświadczył, że zabiera nas ze sobą na komendę policji w Skomorochach. Nie skutkowały prośby Matki by pozwolił nam odejść spokojnie.

Zacząłem gorączkowo snuć plany wyjścia z tej pułapki, bowiem zatrzymanie nas w Skomorochach skończyłoby się tragicznie. Było to znane miejsce kaźni Polaków. Doświadczony żołnierz potrafiłby zachować zimną krew w podobnych okolicznościach ale ja miałem dopiero 16 lat. Przed wyjazdem z domu zaopatrzyłem się w rewolwer, o czym Mama nic nie wiedziała. Miałem go w wewnętrznej kieszeni marynarki, a zapasowy magazynek w kieszeni bocznej. Instykt samozachowawczy kazał mi zrobić z tej broni użytek. Po tej desperackiej decyzji czekałem na stosowny moment.

Policjant szedł w środku, po jego lewej ręce Mama, po prawej ów konwojowany młodzieniec, a ja pozostawałem za nimi nieco z tyłu. Po obu stronach drogi ciągnęły się aż po horyzont pola zasiane oziminą. Policjant wciąż rozmawiał z Mamą. Wypytywał w jakim celu tu przyjechaliśmy, a z rozmowy wynikało, że zna dobrze mego Ojca, a nawet korzystał z jego krawieckich usług. Nigdy dotąd nie widziałem, aby Mama bała się kogokolwiek. Teraz była wyraźnie roztrzęsiona.

Kiedy ujrzałem na horyzoncie pierwsze zabudowania Skomoroch zrozumiałem, że dłużej czekać nie można. Wyciągnąłem błyskawicznie pistolet i wystrzeliłem dwa razy. Pierwszy strzał oddałem w głowę policjanta z bliskiej odległości, drugi - w jego plecy, na wysokości serca. Echo odbiło strzały. Banderowiec zwinął się, upadł na ziemię i znieruchomiał. Z rany w głowie trysnęła krew. Stałem oszołomiony, ogarnęła mnie panika. Pierwszy raz w życiu strzelałem z tak bliska do człowieka. Bezpośrednie zadanie śmierci, nawet bandycie, nie jest rzeczą obojętną. Usiłowałem nie dać tego po sobie poznać, ale cały wewnątrz dygotałem, zęby mi szczykały, w głowie huczało, a nogi

miałem jak z waty. Słowa wymawiałem z trudem, jakbym miał uszkodzoną krtań. Mama zupełnie straciła nad sobą panowanie i powtarzała w kółko jedno tylko jedno zdanie: *Coś ty zrobił! Coś ty zrobił!*

Teraz trzeba było szybko zatrzeć ślady i uporać się ze zwłokami. Po raz pierwszy w życiu dotykałem trupa. Oprócz kilku sztuk amunicji, legitymacji i paczki papierosów nic więcej w kieszeniach munduru nie znalazłem. Przykryliśmy zwłoki cienką warstwą ziemi i ruszyliśmy spiesznie w stronę Bybła. Tam zapewniono mnie, że każdy ukraiński policjant jest równocześnie członkiem banderowskiej organizacji, a w Skomorochach<sup>6</sup> bylibyśmy doprowadzeni nie do komendy policji ale do zamaskowanego miejsca kaźni wielu ludzi. Mieścił się tam jakiś sztab UPA. Najpierw doprowadzonych przesłuchiwali, potem torturowali, a na koniec mordowali.

Uwolniony przeze mnie chłopiec był tak sparaliżowany strachem, że ledwie się poruszał. Od dłuższego już czasu błąkał się po lasach, a tego dnia wyszedł na poszukiwanie żywności i natknął się na policjanta. Był chyba Żydem. Gdy nakarmiliśmy go w Byble, szybko ulotnił się i nigdy go więcej nie spotkałem.

Dzień, w którym dotarliśmy do Bybła, był właśnie owym strasznym dniem napadu banderowców na wieś w marcu 1944 r. i ich potwornych zbrodni, które opisałem wcześniej<sup>7</sup>.

Zatrzymaliśmy się u stryjenki Emilii Jastrzębskiej, bardzo zaskoczonej naszą wizytą. Przyjęła nas wprawdzie serdecznie, ale była ogromnie niespokojna. - *Jutro skoro świt - powiedziała - musicie bezwarunkowo stąd wyjechać. Tutaj jest teraz bardzo niebezpiecznie. W każdej chwili spodziewamy się napadu banderowców. Dziwię się, że zdecydowaliście się na tę podróż. Sama nie mam już nic do stracenia, a męża mego zamordowali banderowcy przed kilkoma tygodniami. Ja również myślę o wyjeździe, ponieważ zaczęto także mordować kobiety.* Z jej oczu popłynęły łzy, a żyły na skroniach nabrzmiały. W przygnębieniu słuchaliśmy jej relacji o tym, że w innych wsiach banderowcy wymordowali wiele polskich rodzin w biały dzień a gospodarstwa doszczętnie spalili.

Ponieważ nie było już w tym dniu żadnego pociągu do Stanisławowa, musieliśmy przenocować w Byble. Nie rozumiałem

---

<sup>6</sup> 12.10.1943 r. o godz. 24-tej zbrojna banda ukraińska napadła w Skomorochach dom Józefa Hana, u którego mieszkał ks. Tadeusz Stroński. Napastnicy zmasakrowali ciało proboszcza, dobijając go ostatecznie strzałem w głowę. Mordercy pochodzili z Bybła, Dytiatyna i Skomoroch. Byli to: Hryć Medyński i Sławko Niemyj - syn grekokat. proboszcza w Skomorochach. Jego ojciec, ks. Wasyl Niemyj i miejscowy wójt Julian Skulski, byli inicjatorami mordów w całej okolicy. (Przyp. red. za: ks. Anczarski "Kronikarskie zapisy....", s. 311).

<sup>7</sup> Zamieszczone w 30 i 31 nr. "Głosów Podolan". (Przyp. red.).

jednak paniki stryjenki. Przeszedłem wieś wzdłuż i wszerz, i nie dostrzegłem niczego podejrzanego. Życie wsi toczyło się normalnie, ludzie kończyli prace, dzieci bawiły się i hałasowały.

Rozpalony w piecu ogień sprawił, że w chacie zrobiło się ciepło i przytulnie. Nie poprawiło to jednak nastroju stryjenki. Zacząłem i ja odczuwać trudny do sprecyzowania niepokój. Po spożyciu kolacji - niemal w całkowitym milczeniu - ułożyliśmy się do snu. Z powodu braku dostatecznej ilości łóżek, położyłem się obok babci. W obawie przed ewentualnym napadem, nakazano mi spać w ubraniu.

Przewracałem się w łóżku z boku na bok do późnych godzin nocnych, dręczony niespokojnymi myślami po dniu silnych wrażeń. Kiedy wreszcie zapadłem w głęboki sen śniłem, że jestem w wojsku, mam spotkać się z banderowcami i zastanawiam się, jak bronić się przed nimi... I w tym momencie obudziło mnie gwałtowne dobijanie się do drzwi i wezwanie do natychmiastowego ich otworzenia. Wrzask banderowców stawał się coraz bardziej natarczywy. Usłyszałem też głośne ujadanie i skowyt psów we wsi.

Mimo, że już dniało, stryjenka zapaliła naftową lampę, a potem otworzyła drzwi. Ukazały się w nich straszne twarze bandytów. Do izby weszło trzech uzbrojonych Ukraińców w niemieckich mundurach. Na czapkach ich połyskiwały - niezdarnie wycięte z blachy - znaki tryzub. Zauważyłem, że mieli niemieckie pistolety typu MP. Po krótkiej rozmowie ze stryjenką, babką i moją Mamą, przeprowadzili w mieszkaniu szczegółową rewizję. Wartościowsze przedmioty z miejsca zabierali, nieprzydatne - wyrzucali na podłogę. Coraz większy zawód malował się na ich twarzach. Jak powiedział jeden z nich - poszukują ukrytej broni i mężczyzn należących do polskiej organizacji. Tymczasem niczego nie znaleźli; nie było broni i mężczyzn też nie było. Męża stryjenki Stanisława i jego brata Jana zamordowali wcześniej.

Po rewizji raz jeszcze wypytywali o męża stryjenki, męża mojej Mamy, nawet o dziadka. Potem jeden z bandytów kazał mi wstać z łóżka. Podniosłem na niego zdziwione oczy, po czym zerwałem się na równe nogi. Przez okropną chwilę, która wydawała mi się trwać wieki, tkwiłem przy łóżku bez ruchu niepewny swego losu, i tylko powieki drgały mi jak w konwulsji. Obok mnie stała Mama ze zdziwionym wyrazem twarzy i wpatrywała się we mnie intensywnie. Jej błękitne oczy zalane były łzami. Ja również zdawałem sobie sprawę z sytuacji i grożącego mi niebezpieczeństwa. Po raz pierwszy patrzyłem w oczy morderców, którzy w tak okrutny sposób odbierali życie Polakom.

Na prośbę Mamy aby mnie nie zabierali, ponieważ jestem jeszcze dzieckiem, banderowiec nie zwrócił żadnej uwagi. Patrzył na mnie bez przerwy i mierzył od góry do dołu pogardliwym wzrokiem. Usiłowałem wytrzymać to spojrzenie, chociaż jego oczy wręcz paraliżowały mnie.

Upowiec kazał mi iść za sobą do sąsiedniej izby. Sytuacja zaczynała być rozpacзлиwa. Tam dał mi znak, żebym zatrzymał się pod oknem, zza którego dobiegały odgłosy ulicy. Ciałem moim wstrząsnął dreszcz. Znajdowaliśmy się w malutkim pomieszczeniu, istnej klitce z jednym oknem. Stało w niej łóżko, obok krzesło, w rogu kuchenka, a na niej parę garnków. Do niedawna zajmował ją zamordowany stryj Jan.

Spojrzałem przez okno i zobaczyłem uzbrojonych bandytów prowadzących znanych mi gospodarzy. Wkrótce do moich uszu zaczął dobiegać rozdzierający skowyt mordowanych ludzi oraz gardłowe wrzaski Ukraińców. Przepędzając z nogi na nogę poczułem uwierającą mnie kolbę pistoletu. Uświadomiłem sobie, że przecież nie jestem bezbronny; mam pistolet i nieco wprawy w posługiwaniu się nim. Odzyskałem nieco pewności siebie i usiłowałem trzeźwo rozumować, co też bandyta teraz ze mną zrobi? Wszystko było możliwe. On zaś badawczo przyglądał się mojej twarzy. Patrzyłem na niego w milczeniu i widziałem własną śmierć. Ucieczka nie wchodziła w rachubę. Uwagę miałem napiętą do granic możliwości, a w głowie wirowały przeróżne plany. Nie było mi łatwo ukryć niepokój w rozmowie prowadzonej w tym ciasnym zamkniętym pomieszczeniu, pod przenikliwym spojrzeniem banderowca. Starłem się wszakże przybrać obojętną minę, opanować drżenie rąk i głosu. Chwilami zaciskałem zęby tak mocno, że w szczękach występował skurcz.

Banderowiec podszedł do mnie bliżej i spojrzenia nasze skrzyżowały się. Dopiero teraz mogłem przyjrzeć się dokładnie jego twarzy. Przez wiele lat miałem potem wrażenie, że mógłbym tę twarz rozpoznać nawet w największym tłumie. - Był w nieokreślonym wieku, miał może 25 lub 30 lat, tępy wyraz twarzy, zapadnięte policzki, wąski zakrzywiony nos, cienkie wargi i białe zęby. Był nieogolony. Miał wściekle przekrwione oczy i przenikliwy wzrok. Robił wrażenie człowieka, który jest zdecydowany na wszystko. Poczułem odór alkoholu i stęchły zapach potu dawno nie mytego ciała. Tak oto znalazłem się oko w oko z banderowcem i oko w oko ze śmiercią.

Baczenie przyglądając mi się przez cały czas, Ukrainiec odzepił od pasa ręczny granat i za pomocą krótkiego sznurka zawiesił go na mojej szyi. Zimny dreszcz pełzał mi po plecach gdy patrzyłem, jak wiązał ten sznurek.

- *Będziesz teraz mówił prawdę* - powiedział - *bo to, co do tej pory mówiłeś, to były ładnie obmyślane bajki dla dzieci.* - Przez chwilę milczał, a potem zadał mi kilka pytań: gdzie przebywa Ojciec? Gdzie ukryli się Polacy we wsi? i inne podobnej treści. Zapalił papierosa i dmuchał bardzo cuchnącym dymem na szybę w oknie. Dalsze pytania były ironiczne i złośliwe. Na niektóre odpowiadałem wymijająco, udając, że ich nie rozumiem.

Staralem się mówić spokojnie, nawet gdy padały ordynarne wyzwiska. Przez cały czas myślałem o tym, aby nie powiedzieć czegoś obciążającego mnie samego, domowników lub innych i przekonywująco grać rolę naiwnego chłopca. - *Czego pan wlaś- ciwie chce ode mnie?* - zapytałem w końcu, jakby zbity z tropu, a każde słowo z trudem przechodziło mi przez gardło. Cierpliwie słuchałem teraz jego krzyków i wulgarnych wyzwisk. Straszyl mnie, że jeśli nie ujawnię miejsc, w których ukryli się mężczyźni, to granat wybuchnie a ja skonam w piekielnych męczarniach. Za najmniej- sze zaś kłamstwo także mnie zabije. - *Twoje odpowiedzi są zbyt przebiegłe* - dodał - *abym uwierzył w ich szczerść*. Zamarłem z wrazenia, a pot ściekał mi z czoła cienkim strumyczkiem. Bande- rowiec rozmawiał ze mną po polsku, mówił płynnie i bez akcentu. Na koniec powiedział: - *zaraz my to wszystko sprawdzimy*. -

Rodzina tymczasem nasłuchiwała z zapartym tchem. Nie wierzono, że wrócę żywy. Przeświadczona była o tym zwłaszcza stryjenka, która zdążyła dobrze poznać banderowców. Mama, która wiedziała od wczoraj, że posiadam broń - oczekiwała wystrzału. Zdradziwszy ten sekret stryjence, wpędziła ją w jeszcze większy popłoch. Wiedziała bowiem, że jeśli użyję broni to banderowcy zamordują wszystkich i spalą dom.

Ja zaś, choć mogłem spodziewać się w każdej chwili śmierci, nie mogłem jakoś w nią uwierzyć. Jak to? Mogę nagle zginąć i już mnie nie będzie? Trudno było to, sobie wyobrazić. Rodzina i znajomi nieraz mnie pytali, co czułem stojąc przed banderowcem z granatem u szyi, i czy bardzo się bałem? Po tylu latach trudno zrekonstruować dokładnie wrażenia albo ocenić, jak długo to trwało. W takich chwilach nie sposób odmierzać czasu. Zrozumie to tylko ten, kto sam był w sytuacji zagrożenia życia. Natomiast z całą pewnością nie jest prawdą, że - jak twierdzą niektórzy - nigdy się nie bali. Tego typu emocje znajdują się poza naszą wolą. Sądzę, że każdy normalny człowiek boi się śmierci i tylko ludzie bez wyobraź- ni mogą nie odczuwać strachu.

Z całą pewnością pamiętam, że nogi mi drżały i uginały się jakby były z waty. Oczywiście starałem się opanować paraliżujący strach i uporządkować myśli. Zacząłem dokładnie obserwować ruchy bandyty, nie mogłem bowiem ani przez sekundę zawahać się czy wykonać nieprecyzyjny ruch. Przez głowę przelatywały mi najbardziej fantastyczne pomysły. W młodzieńczej furii zaciskałem mocno pięści i zdecydowałem się na szalony krok. Kiedy bande- rowiec odbezpieczy granat (wciąż wiszący na mojej szyi), błyska- wicznie odrzucę go przez okno i sięgnę po pistolet. Sądziłem bowiem, że po odbezpieczeniu granatu bandyta odwróci się i wyj- dzie, aby w innym pomieszczeniu czekać na eksplozję. Zachowanie zimnej krwi było wówczas nakazem

chwili. Jak wykazała później nauka w szkole lotniczej, nigdy mi jej nie zabrakło.

Poczucie rzeczywistości to odpływało ode mnie, to powracało. Raz ogarniała mnie obezwładniająca trwoga, to znów szalone podniecenie. Wyjąć rewolwer i skierować lufę na bandytę - to jedna chwila. Strzelić mogę w ułamku sekundy. Ćwiczyłem ten chwyt w Stanisławowie aż do znudzenia. Zanim opanowałem ten pistolet, wystrzelałem z niego kilkaset sztuk amunicji. Była to broń pewna, celna i skuteczna.

Myśli przebiegały przez moją głowę jak błyskawice ale instynkt podpowiadał, żeby jeszcze nie strzelać. Mój plan skomplikował się nagle przez nowe wydarzenie. Gdy przygotowywałem kolejną odpowiedź, nagle drzwi się otworzyły i wszedł do izby drugi banderowiec z pijackim uśmiechem na twarzy. Miał przewieszony przez ramię automat, a za pasem siekiere z śladami świeżej krwi. Powiedział do "mojego" banderowca, żeby *skończył już z tym Lachem albo robi to sam* i wymienili między sobą znaczące spojrzenia. Wkrótce bandyta z siekiere wyszedł, przekazując na odchodnym, że wnet odbędzie się zbiórka i odjazd do następnej miejscowości. Wymienił nawet jej nazwę ale nie zrozumiałem. Pozostałem sam na sam z bandytą i układ sił znowu przechylił się na moją korzyść...

c. d. n.

*Janina Popławska-Kwiatkowska  
Gdynia*

### **Jeździłam z paczkami do więzienia w Czortkowie (Wspomnienia z 1945 r.)**

*Moją skromną opowieść poświęcam pa-  
mięci k-ta Szkoły Podchorążych AK w  
Tarnopolu<sup>8</sup> - Lesławowi Tarczyńskiemu.*

Wydarzyło się to w pierwszych dniach stycznia 1945 roku. Mieszkałam wtedy z Rodzicami w Tarnopolu, wraz z najstarszą siostrą

---

<sup>8</sup> Od początku maja 1943 r. podjęto w Tarnopolu szkolenie i zaczęto uruchamiać zastępcze kursy Szkoły Podchorążych i Podoficerów Piechoty. Do połowy sierpnia uruchomiono w Inspektoracie AK Tarnopol 7 klas kursów Szkoły Podchorążych, w tym 5 klas w samym Tarnopolu. Opiekunem szkolenia był ppor. Adolf Kmita, ps. "Robert". (Przyp. red. za: J. Węgierski: "Armia Krajowa w Okręgu Stanisławów i Tarnopol", Kraków 1996).

Marią, jej mężem Leszkiem Tarczyńskim i córeczką Ewą. Miałam wówczas 15 lat i uczęszczałam do 7 klasy sowieckiej "dziesięciolatki".

Po powrocie ze szkoły zastałam rodzinę zapłakaną, w mieszkaniu bałagan, a 6-miesięczną Ewunię bardzo wystraszoną. Na pytanie co się stało? - powiedziano mi, że w domu była rewizja, a funkcjonariusze NKGB aresztowali szwagra<sup>9</sup>. Bardzo się tym przejęłam. Szwagier był przed wojną zawodowym żołnierzem, a przy tym bardzo dobrym człowiekiem, synem, mężem i ojcem. Rodzinę ogarnęła rozpacz.

Jak dowiedzieliśmy się później, aresztowani zostali w Tarnopolu w jednym dniu niemal wszyscy AKowcy poza nielicznymi, którym udało się uciec (np. Karolowi Halskiemu<sup>10</sup>).

Siostra chciała za wszelką cenę wykupić męża z rąk NKGB i zastanawiała się, do kogo zwrócić się w tej sprawie. Nawiązał z nią w tym czasie kontakt p. T. W. z Tarnopola (nazwisko jest mi znane), który obiecywał zwolnienie szwagra za biżuterię i dobry obiad, na który przyjdzie w towarzystwie sowieckiego oficera. Pan ten kilkakrotnie przychodził do nas na obiady, usprawiedliwiając za każdym razem nieobecność swego towarzysza, i sam zjadał wszystko co siostra przygotowała. Nie muszę dodawać, że dobre mięso kosztowało w tym czasie bardzo dużo, i siostra na te obiady musiała sprzedawać wartościowe przedmioty.

Nadszedł czas kiedy p. T. W. zażądał złota. Siostra oddała mu wartościową biżuterię, bo najważniejsze było ratowanie więźnia. Wiem również, że żona aresztowanego inż. Szczęsnego oddała także swoją biżuterię na wykupienie męża. (Z p. Szczęsną jeździłam później z "peredaczą" do więzienia w Czortkowie). Inżynier Szczęsny nie powrócił z zesłania<sup>11</sup>.

Po wielokrotnych zapewnieniach, że szwagier zostanie zwolniony, p. T. W. wyjechał z Tarnopola w nieznanym kierunku. Był to człowiek

---

<sup>9</sup> Kazimierz Lesław Tarczyński, ur. 21.10.1917 r. we Lwowie. Wychowanek II. Państwowego Gimnazjum im. J. Słowackiego w Tarnopolu (w l. 1933-36). Pchor. zaw. artyl. Brał udział w kampanii wrześniowej 1939. W czasie okupacji niem. 1942-44 - żołnierz AK w Tarnopolu ps. "Prawdzic". 4.01.1945 r. został aresztowany przez NKWD i skazany na 10 lat łagru w Boguciczek, w Chabarowskim Kraju. Wrócił do Polski w 1955 r. (Przyp. red. za: Cz. Blicharski: "Tarnopolanie na starym ojców szlaku", Biskupice 1994.).

<sup>10</sup> Karol Halski, nauczyciel. W 1942-44 żołnierz AK Tarnopol, ps. "Mikołajczak". (przyp. red. za: Cz. Blicharski: "Tarnopolanie...").

<sup>11</sup> Władysław Szczęsny, ur. 11.08. 1891 r. w Tarnopolu. Dyrektor elektrowni miejskiej. 1.10. 1942 r. wzięty przez gestapo jako zakładnik. W czasie okupacji niem. 1942-44 żołnierz AK Tarnopol. 4.01.1945 aresztowany przez NKWD. Według jednej wersji - na wpułżywego wyrzucili go strażnicy z bydłowego wagonu zmierzającego do Rosji, według drugiej - zmarł z głodu w łagrze, w Karagandzie. (Przyp. red. za: Cz. Blicharski: "Tarnopolanie...").

żerujący na ludzkim nieszczęściu. Po wielu latach siostra widziała go (w stalinowskich czasach) w tramwaju na trasie Bytom-Zabrze.

Ponieważ centrum Tarnopola leżało w gruzach, Sowieci przenieśli Urząd Wojewódzki - Obłast' - do Czortkowa. Tam też przewieziono wszystkich więźniów politycznych z naszego miasta i pobliskich miejscowości. Przetrzymywani byli - jak pamiętam - nie w gmachu więzienia, ale w budynku zajmowanym przez NKGB, znajdującym się w pobliżu głównej ulicy. Był to stosunkowo nieduży piętrowy budynek, ogrodzony wysokim płotem z desek, uniemożliwiającym zobaczenie czegokolwiek. O ilości więźniów politycznych świadczyła bardzo duża kolejka ludzi czekających na oddanie "peredaczy", czyli paczki z żywnością i bielizną.

W tym czasie siostra karmiła małe dziecko i nie mogła na dłużej opuszczać domu. Mama - emerytowana nauczycielka - nie nadawała się do takich podróży. Ojciec był nauczycielem i jedynym żywicielem rodziny. W tej sytuacji tylko ja mogłam wyręczyć siostrę, i jeździć co 10 dni z paczką do więzienia.

Z uwagi na mój wiek, starałam się być zawsze w pobliżu osób starszych, z którymi różniej było w tych niebezpiecznych czasach. Przy okazji wymienię trzy zapamiętane osoby, które także jeździły z paczkami do więźniów w Czortkowie. Były to panie: Szczęsna, Woźniak i Frania - pomoc domowa państwa Dobrzańskich. Tu muszę zaznaczyć, że p. Dobrzańska była ułomna, więc wyręczała ją Frania, osoba bardzo ofiarna i oddana. (Pan Dobrzański aresztowany był również za przynależność do AK).

Będąc w tym czasie uczennicą, nie miałam prawa do zakupu biletu kolejowego, tzw. "komandirówki". Musiałam zatem korzystać z przygodnych sowieckich samochodów ciężarowych. Trzeba było czekać za miastem przy roгатce, aż jakiś kierowca zlituje się i zabierze. Nie można było bowiem zabierać cywili do wojskowych samochodów. Za podróż płacono kierowcy samogonem. Przyjęta "taksa" wynosiła: butelka samogonu od osoby w jedną stronę. Pamiętam takie przypadki, kiedy w domu nie było za co kupić alkoholu. Ojcu naszemu wypłacano wtedy głodową pensję, która ledwie starczała na skromne utrzymanie rodziny. Ale Ojciec zawsze nam powtarzał: *byle było zdrowie, to Pan Bóg resztę da, i jakoś się przeżyje.*

Nie będę chyba nieskromna gdy wspomnę, że przez całą wojnę zatrzymywało się u nas wiele osób poszukujących dachu nad głową. Rodzice moi bezinteresownie, z czysto ludzkich pobudek, udzielali pomocy poszukującym schronienia. W 1939 roku przyjęli uciekinierów z Tarnowa, następnie sąsiadkę - kapitanową Tomaszewską z córką, które sowieci wyrzucili z mieszkania. Mieszkała też u nas kuzynka ks. Kargula, potem mgr Zaborniak, mgr Filler, jego kolega i jeszcze inne

osoby. W czasie bombardowania miasta w 1944 roku znaleźli u nas schronienie pp. Durczakowie, p. Ordynansowa z synem i p. Studzienna z mężem.

Wspominałam o tym, aby wyrazić uznanie moim Rodzicom, którzy wtedy - sami w wielkiej biedzie - pomagali innym zupełnie bezinteresownie. Myślę, że patriotyzm i solidarność moich Rodziców pomogły mi w jakiejś mierze w przezwyciężaniu strachu i trudności w moich podróżach do czortkowskiego więzienia. Ja także mogłam dać coś innym od siebie, pomóc uwięzionemu człowiekowi bodaj w otrzymaniu skromnej przesyłki z dozwoloną zawartością.

W tym czasie bardzo trudno zdobywało się żywność. W paczce była przeważnie cebula (przeciwno skorbutowi), kawałek słoniny lub kiełbasy, chleb, tytoń i bielizna. Podawany był w niej także list od rodziny, który skrupulatnie - jak i cała zawartość - był kontrolowany.

Stało się z tą "peredaczą" pod więzieniem w długiej kolejce na mrozie, o głodzie, czekając cierpliwie na jej przyjęcie zazwyczaj od świtu do zmroku. Bywało, że paczki nie przyjęto z powodu przesłuchiwanie więźnia<sup>12</sup>. Trzeba było wówczas czekać do następnego dnia i stanąć w nowej, długiej kolejce. Trudno mi podać liczbę oczekujących, ponieważ stale ktoś odchodził lub dochodził. Była jednak zawsze bardzo długa.

Siostra osobiście ubierała mnie na taką podróż, żebym była wystarczająco ciepło odziana, i owinięta szalem, jak ubierały się Rosjanki. I żebym mogła wytrzymać na mrozie pod gołym niebem cały dzień. Mroźna zima i nastrój, który towarzyszył wszystkim pod budynkiem NKGB, pozostawiły koszmarnie wspomnienia.

Byłyśmy wręcz szczęśliwe gdy w danym dniu paczkę od nas przyjęto. Nikt nie martwił się wówczas powrotem do domu. A z tą podróżą bywało różnie. Nie zapomnę chwili, kiedy za rogatką Czortkowa wojskowy kierowca wziął od nas zapłatę za dowiezienie do Tarnopola, a wysadził niemal w połowie drogi do Trembowli oznajmiając, że dalej nie jedzie. O proteście z naszej strony nie było mowy. Trzeba było posłusznie zejść z samochodu.

Nie wiedziałyśmy co robić. Był silny mróz i późna pora. Dora- dziłam moim towarzyszkom udanie się na dworzec kolejowy, gdzie najbezpieczniej będzie można przeczekać do rana. Z opowiadań ludzi wiedziałam bowiem, że banderowcy mordują bezbronnych Polaków, grasują także w Trembowli.

Na dworcu i na peronie koczowało mnóstwo rodzin, z dziećmi, starcami i całym swoim dobytkiem. Byli to Polacy z pobliskich wiosek, którzy czekali od wielu dni na swój transport do Polski. Ryczące bydlęta i płaczące dzieci pozostały mi w pamięci do dziś. Nie można było znieść

---

<sup>12</sup> "Prawo wymagało", aby adresat pokwitował jej odbiór. (Przyp. red.).

widoku tych nieszczęśliwych ludzi. Frania zaproponowała byśmy udały się na Podzamcze i tam poprosiły o nocleg.

Podzamcze zamieszkiwały rodziny ukraińskie, których bardzo się obawiałam, ponieważ nie mówiłam biegle tym językiem. Umówiliśmy się z paniami, że będę udawała chorą na gardło, aby nie wydało się, że jestem Polką. Frania i p. Woźniak dobrze znały język ukraiński, postanowiły więc, że przedstawimy się jako Ukrainki.

Zbliżaliśmy się już do podnóża góry, na której wznosiły się ruiny sławnego trembowelskiego zamku. Gwiazdziste niebo i pełnia księżyca oświetlały nam drogę. Pomyślność nam sprzyjała - spotkałyśmy Ukrainkę pompującą wodę ze studni. Moje towarzyszki pozdrowiły ją po ukraińsku i poprosiły o nocleg.

W tym czasie Sowietci dla postrachu wieszali w Czortkowie złapanych banderowców, wielu ich znalazło się także w tamtejszym więzieniu (w tym dużym gmachu dla kryminalistów). Do nich także przyjeżdżały rodziny z paczkami. To gwarantowało, że nikt nam noclegu - jako Ukrainkom - nie odmówi.

Spotkana kobieta powiedziała to samo: *takim się nie odmawia*, i zaprowadziła nas do swojego domu. W pustej izbie rozłożyła pościel na podłodze, i mogłyśmy tam pozostać do rana. Dużo było rozmowy, ciekawego wypytywania o nas, i o mnie - dlaczego się nie odzywam?

Na nasze pytanie - *a gdzie wasz mąż?* - gospodyni odpowiedziała z całą swobodą: *Poszedł na Lachów, ale niedługo wróci*. Zrozumieliśmy od razu z kim mamy do czynienia, i nie przedłużając rozmowy poprosiłyśmy o zamknięcie drzwi, bo jesteśmy zmęczone i chcemy spać. Usłyszałyśmy jeszcze szcęk jakiegoś żelastwa w sieni (to banderowiec wrócił z wyprawy), a potem ściszony głos gospodyni wyjaśniającej naszą obecność: *ce swoji...*

Modliłyśmy się cichutko o swoje bezpieczeństwo, i nie zmrzywszy oka przez całą noc, opuściłyśmy cichaczem dom o świcie z głośno bijącym sercem. Powędrowałyśmy kilka kilometrów za miasto szczęśliwe, że nie spotkało nas nic złego. Główną szosą mknęły w kierunku Tarnopola ciężarówki, a my nie miałyśmy już czym zapłacić. Trafiłyśmy jednak na ludzkiego Rosjanina, który zabrał nas za darmo i szybko dojechałyśmy do rogatek naszego miasta.

Nigdy nie opowiadałam moim dzieciom szczegółów tych podróży. O wszystkim wiedziała tylko moja siostra, z którą musiałam podzielić się przeżyciami.

Jadąc innym razem ciężarówką do Czortkowa, zobaczyłyśmy przejeżdżających konno banderowców. Wiedziałyśmy, że nas nie dogonią. Nagle okazało się, że jadą na przełaj. Wyglądali strasznie. Mieli na sobie jakieś kolorowe kilimy, wywijali szabłami, strzelali z broni palnej i wydawali dzikie okrzyki. Rosjanie z naszego samo- chodu także do

nich strzelali. Wszystko to napawało nas przerażeniem.

Gdy samochód był już niewidoczny dla banderowców, Rosjanie postanowili wysadzić nas w lesie. Nie pomogły żadne perswazje. Musiałyśmy samochód opuścić. Kryjąc się w lesie, natrafiłyśmy na kompletnie spaloną leśniczówkę; pozostały w niej tylko osmalone ściany. Schowałyśmy się za nie, gdy banda na koniach znalazła się w pobliżu. Prosząc Boga by nas nie zauważyli, przesiedziałyśmy tam skulone jakiś czas, dopóki się nie oddalili.

Pewnego razu siostra powiedziała mi, że nie może dostać samogonu. Mój drugi szwagier (Wiesław) obiecał "załatwić mi" podróż pociągiem, na co się zgodziłam nie wiedząc, w jakich okolicznościach tę podróż odbędę. Gdy weszliśmy na peron i zajechał towarowy pociąg (osobowe jeszcze nie kursowały) szwagier podsadził mnie do góry, ktoś odryglował drzwi i szybko je za mną zaryglował. Gdy pociąg ruszył, zorientowałam się, że jadę z banderowcami. Bardzo bałam się aby nie zainteresowali się kim jestem. Dotarłam jednak szczęśliwie do celu, co uważam za Opatrzność Boską, która najwyraźniej nade mną w tych podróżach czuwała.

Innym razem po oddaniu paczki nie miałam za co wrócić do domu. Powiedziałam o tym p. Szczęsnej, która posiadała bilet na pociąg i postanowiła, że pojedę z nią "na gapę". Wtedy panowały takie zwyczaje, że gdy pociąg już ruszył, wskakiwał do wagonu enkawudzista i kontrolował bilety. Jeśli ktoś z pasażerów "komandirówki" nie posiadał, pociąg zatrzymywano i zabierano delikwenta do więzienia. Słyszałam o tych praktykach ale musiałam zaryzykować.

Tak jak przeczuwałam, wskoczył do wagonu "komandir" wykrzykując - "Prowierka dokumentów". (Wagon, którym podróżowałyśmy, nie posiadał drzwi ani z jednej, ani z drugiej strony. Przedzielony był na dwie części ławkami z nieheblowanych desek. Kontrolę biletów rozpoczęto z tej drugiej strony, a mnie p. Szczęsna kazała schować się pod ławkę, na której siedzieli pasażerowie. Byłam niedożywiona i mała jak na mój wiek, weszłam więc pod ławkę bez trudu. Siedziałam tam skulona i modliłam się gorąco. W końcu nie wytrzymałam nerwowo i wyszłam spod ławki. W momencie, gdy kontroler przechodził na naszą stronę, przeszłam niezauważona na tę drugą.

Wszystkie te przeżycia były jednak niczym w porównaniu z tymi, które czekały mojego szwagra.

Pod koniec moich podróży do Czortkowa kilkakrotnie - gdy trzeba było czekać z paczką do następnego dnia - nocowałam w rodzinie Rosjan. Spałam na otomanie, nad którą wisiał karabin. Ludzie ci skierowani zostali do Czortkowa po powtórny wkroczeniu wojsk sowieckich. Wiedzieli w jakiej sprawie przyjeżdżam, a mimo to udzielali

mi noclegu, narażając się na ewentualne szykany. (Ten kontakt otrzymałam przez mego szwagra Wiesława). Nie podając nazwiska, składałam Im tą drogą serdeczne podziękowanie.

Zbliżam się do końca moich wspomnień z tego okresu. W lipcu 1945 r. wyjechaliśmy transportem wysiedleńców do Bytomia.

Aresztowany szwagier otrzymał karę śmierci, zamienioną następnie na dożywocie, a po śmierci Stalina - na 25 lat. Karę odbywał w jednym z najcięższych obozów, w rejonie Kołyma - Magadan. Temperatura spadała tam w zimie do  $-60^{\circ}\text{C}$ . Pracował w nieludzkich warunkach. Przez cały czas jego nieobecności nie mieliśmy żadnej wiadomości czy żyje. Siostra zwracała się kilkakrotnie pisemnie do Bieruta i Stalina z pytaniem, gdzie znajduje się jej mąż ale odpowiedź była zawsze ta sama: *Takoho u nas niet.*

Lesław Tarczyński wrócił do Polski po 11,5 latach. Resztę życia spędził szczęśliwie w gronie najbliższych.

P. S. Po aresztowaniu szwagra miejscowe władze wyrzuciły nas z mieszkania w Tarnopolu, nie dając zastępczego. Całe mienie zapisane zostało na rzecz sowieckiego państwa. Siostra nie otrzymała zezwolenia na wyjazd do Polski, miała tam pozostać. W ostatniej chwili weszła do naszego wagonu bez dokumentów, jedynie z dzieckiem na ręku. Było to możliwe dzięki poufnej informacji polskiego kolejarza o terminie odjazdu naszego transportu.

Wszędzie są ludzie i ludziska.

#### **Od Redakcji**

Informujemy, że w roku 1999 cena jednego egzemplarza biuletynu "Głosów Podolan" będzie wynosiła 4.00 zł + koszt przesyłki

**A P E L****DRODZY RODACY!**

Z Bożą pomocą, mamy nareszcie możliwość spełnienia naszych pragnień, by powrócić do kultury polskiej. do języka ojczystego.

Pragniemy poznać historię Narodu I Państwa Polskiego. Staramy się odrodzić najcenniejsze cnoty narodowe i wartości chrześcijańskie.

Nasze kościoły to szansa ocalenia kultury polskiej w Republice Ukrainie. Zburzono na naszych terenach niejedną śliczną kościół rzym.-kat. , a w 1963 r. także kościół w Podwołoczyskach (woj. tarnopolskie). Dlatego pragniemy zbudować nową świątynię.

Działkę ziemi pod budowę otrzymaliśmy, ale nasze możliwości finansowe są niewystarczające. Wasze , najdrobniejsze nawet ofiary, wesprą proces odradzania się kościoła i kultury polskiej. Z ogromną wdzięcznością przyjmujemy wszelką pomoc od Rodaków z Kraju. Pomoc Wasza przyniesie nam nadzieję, że nie zostaliśmy sami i zapomniani. Dzięki niej będziemy mogli powrócić do swej tożsamości narodowej.

**Drodzy Rodacy! Prosimy o pomoc!**

Prosimy przesyłać ofiary na konto:

**TML i KPW 00- 322 WARSZAWA**

**ul. Krakowskie Przedmieście 64**

**PKO BP VI/O Warszawa**

**Nr 10201068-297064-270-1-11**

z dopiskiem: **na kościół w Podwołoczyskach.**

Prezes Komitetu Budowy Kościoła

/ - / E. Najasik

Członkowie Komitetu:

/ - / B. Kamiński

/ - / S. Brodawczuk

Okrągła pieczęć tuszowa z emblematem krzyża w środku oraz z napisem w otoku: Parafia rzym.-kat pw. św. Zofii w Podwołoczyskach.

**APEL****“NA BUDOWĘ KOŚCIOŁA W BRODACH”**

Parafialny kościół rzym.-kat. w Brodach (w woj. tarnopolskim) nie został zwrócony tamtejszym Polakom. Przeznaczono go na katedrę greko-kat. dla nowotworzącej się diecezji tego obrządku.

XVI-wieczny kościół w Brodach został wręcz zeszpecony nadbudowanymi (tandetnie) kopułami, a na dodatek rozbito polichromowe sklepienie. “Zabieg” powyższy przeprowadzony został wbrew protestom Konsulatu Polskiego we Lwowie i konserwatora zabytków. Wykonawcy “nadbudówek” nie ukrywali wcale, że jest to rewanż za rozebranie kopuły na kościele karmelitów w Przemyślu.

Społeczność polska w Brodach wyrzucona ze swojego kościoła, od pięciu już lat uczestniczy w nabożeństwach odprawianych pod gołym niebem, na łące. W ubiegłym roku uzyskała zgodę i miejsce na budowę nowego kościoła (niedaleko dworca kolejowego), ale czy, i kiedy nowa świątynia powstanie, zależy od zgromadzenia funduszy, czyli od pomocy Polaków w Kraju.

Rodacy na Kresach nie zbudują go sami, są na to zbyt biedni. Trzeba koniecznie pomóc! Przyda się każda złotówka! Okażmy solidarność!

Apelujemy przeto do Czytelników, a przez nich do ich przyjaciół i znajomych - o datki na ten zbożny cel.

Wpłaty prosimy przesyłać na konto:

**CARITAS** Diecezji w Lubaczowie  
Bank Depozytowo- Kredytowy O/Lubaczów

**Nr:10701496-1397-2221-0100**

z dopiskiem: “Na budowę kościoła w Brodach”

## Z ŻAŁOBNEJ KARTY

### **Śp. mgr Józef OSIECKI**

ur. 13.12.1905 r w Czortkowie, członek Klubu "PODOLE" TML i KPW w Warszawie, absolwent seminarium nauczycielskiego w Czortkowie (1938). Uczył w szkołach powszechnych w Uhryniu i Jagielnicy w pow. czortkowskim.

Żołnierz AK.

Studia w SGPiS w Warszawie ukończył w 1964 r. Był długoletnim dyrektorem i wychowawcą młodzieży w Zasadniczej Szkole Handlowej Nr 6 w Warszawie.

Zmarł w dniu 30.07.1998 r. Pogrzeb odbył się 6.08.1998 w Warszawie.

### **Śp. Stanisław TURKIEWICZ, ps. "Wir"**

urodził się przed 85 laty w Pomorzanach pow. zborowski.

Absolwent seminarium nauczycielskiego (1937), uczestnik "Jubileuszowego" Zlotu ZHP w Spale w 1935 r.. Pierwsze lata w zawodzie nauczycielskim spędził w szkołach powszechnych woj. tarnopolskiego.

Podczas okupacji był żołnierzem AK ps. "Wir". Prowadził tajne nauczanie. Przygotowywał młodzież Szarych Szeregów do walki z wrogiem i akcji BURZA.

Jako żołnierz II Armii WP brał udział w ostatniej wojnie. Jako inwalida wojenny powrócił do pracy pedagogicznej. Od 1945 r. pracował w placówkach oświatowych powiatu kluczborskiego: w Borkach, Bączynie Biskupicach i Kluczborku.

Ponad 30 lat uczył w szkołach j. polskiego. Był kierownikiem internatu Liceum Pedagogicznego w Kluczborku.

W uznaniu zasług wojennych odznaczony został Krzyżem Kawalerskim OOP, krzyżem Zasłużonym na Polu Chwały, krzyżem AK i innymi.

Zmarł 25.11.1998 r.. Pochowany na cmentarzu w Kluczborku.

Piotr Baj ps. "Czarny."

**Wspomnienie o śp. Stanisławie Muszyńskim**

## ps. "Vickers"

Bóg - Honor - i Ojczyzna ... były to ostatnie słowa jakie zdołał wyszeptać wieczorem 3 października br., na chwilę przed zgonem. Zmarł w swoim domu, w Jastrzębiej Łące k/Tłuszczu.

Jako żołnierz spod tego samego Znaku, pragnę poświęcić kilka zdań pamięci "Vickersa".

Urodził się 1 stycznia 1916 r. w Zalesiu k/Borszczowa (kilkanaście kilometrów od granicznego Zbrucza).

W 1936 roku wstąpił do Wojska Polskiego - batalionu pancernego we Lwowie. Po ukończeniu szkoły podoficerskiej - do sierpnia 1939 r. był podoficerem nadterminowym. 1 września mianowany miał być podoficerem zawodowym, co było jego marzeniem. Niestety, nigdy się nie spełniło.

Po kampanii wrześniowej dostał się do niewoli sowieckiej, z której zbiegł i zatrzymał się w Czortkowie.

W styczniu 1940 r. wziął udział w zbrojnym wystąpieniu czortkowskich przeciwko zaborcy (zwanym Powstaniem Czortkowskim), a po jego niepowodzeniu schronił się w Zalesiu.

W szeregach Armii Krajowej wstąpił od początku jej działania w Czortkowie. Był organizatorem plutonu pancernego i przyjął pseudonim "Vickers". Wkrótce powierzono mu sprawy wywiadu, następnie mianowano komendantem KEDYWU Obwodu AK Czortków, a w 1943 r. powierzono również obowiązki zastępcy k-ty KEDYWU Inspektoratu AK Czortków. W początkach 1944 r. mianowany został porucznikiem AK czasu wojny, (o czym dowiedział się dopiero w czasie rozprawy sądowej).

Zagrożony aresztowaniem przez NKWD, uciekł w 1945 r. do Lwowa, stamtąd wyjechał na Ziemię Zachodnie. Tu, wśród dawnych żołnierzy KEDYWU zorganizował komórki WIN. Zorientowawszy się o zagrożeniu ze strony organów bezpieczeństwa, Stanisław zaprzestał działalności i ujawnił się. Nie zapobiegło to jednak aresztowaniu. Skazany został na 6 lat więzienia (zrehabilitowany w 1956 r.). Śp. Stanisław Muszyński był wzorem obowiązkowego i sprawiedliwego dowódcy. Cechowała go odwaga, męstwo i rozwaga. Organizowane przez niego lub inicjowane brawurowe akcje, w których także brał udział, były szczegółowo przemyślane i kończyły się powodzeniem.

Stanisława poznałem w 1943 r. u k-ty Obwodu AK Włodzimierza Uruskiego - "Korczaka", do którego przychodziłem jako łącznik samodzielnego plutonu AK w Słobódce Dżuryńskiej. "Vickers" okazywał mi dużo zaufania i życzliwości. Udzielał rad i wskazówek. Gdy w połowie 1943 roku zorganizowano na terenie kompanii AK terenowe komórki KEDYWU (w Słobódce Dżuryńskiej i Byczkowcach) moje kontakty z

“Vickersem” stały się częste i systematyczne.

Po wielu latach przerwy spotkaliśmy się w Warszawie. Utrzymywaliśmy serdeczne i przyjacielskie kontakty. Odwiedziłem Go w połowie września br. i złożyłem relacje z podróży na nasze rodzinne Kresy. Słuchał z zainteresowaniem, wypytywał o szczegóły, wspominaliśmy wydarzenia z przeszłości i znanych nam obu ludzi. Nie przeczuwałem, że będzie to nasze ostatnie spotkanie ...

Stanisław był wielkim czcicielem Matki Bożej z różą - Madonny Czortkowa. Uczestniczył w dorocznych spotkaniach Czortkowiek przed Jej obrazem, niejednokrotnie też sam odwiedzał “czortkowską” kaplicę u św. Jacka na Freta.

Gdy mówił niekiedy o swej przyszłej śmierci, pragnął umrzeć w święto Matki Bożej Różańcowej lub w święto Królowej Korony Polskiej. Drugim wielkim pragnieniem był mundur.

Pochowany został z wizerunkiem Matki Bożej z różą i w mundurze wojskowym, z oznakami broni pancernej i Armii Krajowej.

Żegnam Cię Drogi Stanisławie z głębokim smutkiem

Zbigniew Andruchów - “Cwański”

Zawiadamy, że nasza Koleżanka

### **Śp Aurelia Bugajska**

z d. Wołoszczuk ur. w 1928 r. w Czortkowie, zamieszkała po wojnie w Bytomiu zmarła 3 grudnia, zaś 5 grudnia 1998 r. pożegnaliśmy Ją na zawsze.

Zawsze bardzo tęskniła za Czortkowem. Korzystała z każdej okazji by spotykać się z Czortkowiekami i odwiedzać Rodzinne Strony. Głęboko to przeżywała.

Rybakowie

**LISTA OFIARODAWCÓW**

(na działalność związaną z wydawaniem biuletynu)

1. Władysław Bochenek	Krotoszyn	10.00 zł
2. Maria Domaradzka	Gliwice	10.00 zł
3. Henryk Jarowicki	Kluczbork	10.00 zł
4. Władysław Kosowski	Szczecin	10.00 zł
5. Aniela Krasowska	Opole	17.40 zł
6. Danuta Maciejewska	Poznań	20.00 zł
7. Jan Raniczkowski	Wymiarki	20.00 zł
8. Józef Ruczyński	Warszawa	13.00 zł
9. Barbara Ruszczyc	Warszawa	10.00 zł
10 . Robert Szczerkowski	Wrocław	50.00 zł

*Wszystkim Ofiarodawcom serdecznie dziękujemy.*

## SPIS TREŚCI

Władysław KUBÓW W 90. Rocznicę powstania "ROTY" .....	1
Jan HRYMNIAK Niezapomniane strony rodzinne. Ziemia Czortkowska. Cz. III.....	5
Jan RANICZKOWSKI Urodziłem się w Kamieńcu Podolskim (Wspomnienia). Cz. II .....	9
Stanisław JASTRZĘBSKI Oko w oko z banderowcami (Wspomnienia małoletniego żołnierza AK). Cz. V .....	12
Janina POPŁAWSKA-KWIATKOWSKA Jeździłam z paczkami do więzienia w Czortkowie. (Wspomnienia z 1945 r.) .....	20
APELE.....	28
Z ŻAŁOBNEJ KARTY .....	29
LISTA OFIARODAWCÓW .....	32